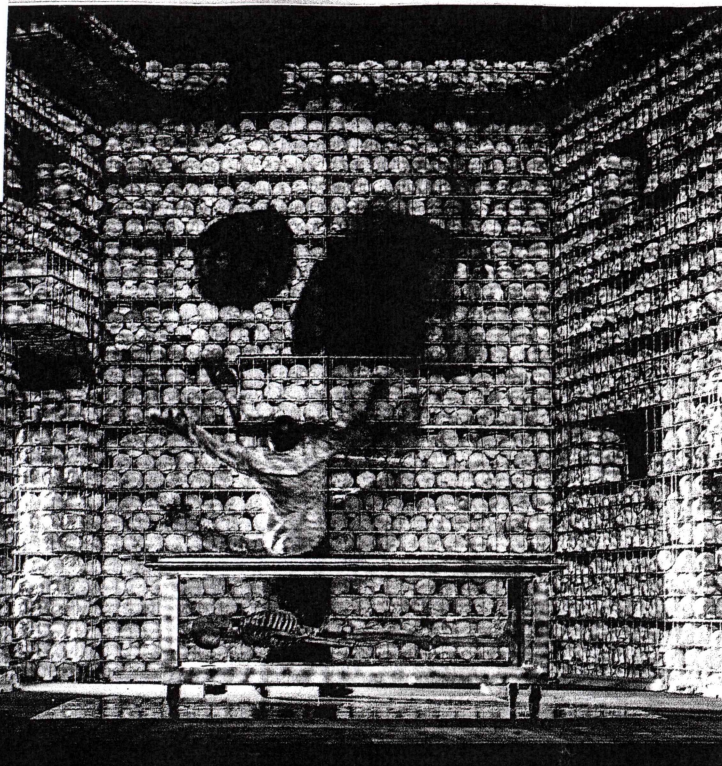


PRZEMYSŁAW
SKRZYDELSKIkomentator
teatralny Pr. II
Polskiego Radia

FOT. MAGDA HIECKEL

Co prawda jak u Strindberga cały czas podważa sens własnego „ja”, lecz widać, że tutaj to ewidentny wynik bezradności wobec dzisiejszej kultury, z której nie wiadomo co dla siebie wybrać. Czarnik gra naiwniaka z przekonaniem o poważnej misji. Jeśli ciągnie go do poświęcenia się dla bliźniego (choćby dla jego Pani/Żony – w tej roli Justyna Wasilewska), to tylko w ramach kalkulowania własnego sukcesu. Napotkani na drodze do wyzwolenia przezywają go performerem-kompozytorem, którego dzieła ostatnio nie trafiają do nikogo. Pani/Żonie imponuje, bo i ją uwalnia od nudy, braku samookreślenia, rodzinnej rutyny. Oboje pragną metafizyki, ale ona zabija, kreując coraz ohydniejsze wyobrażenia (znakomicie wchodzący w tę

METAFIZYKO, PRAGNĘ CIĘ

Jan Kłata chyba po raz pierwszy z ironią opowiada o sobie i roli artysty. I przejmując jedną z trzech najważniejszych scen w kraju, na nowo definiuje swój teatr.

Gdzie się podział buntownik z irokezem, który w kolejnych odsłonach prężył się, by udowodnić, że szykuje nowe otwarcie w polskim teatrze, że teksty klasyków, owszem, wystawiać trzeba, ale do diabła z tym całym kłękaniem przed Shakespeare'em. To dobre dla „teatralnych wujów”, jak kiedyś Kłata, jeszcze wówczas – częściej niż dziś – bojując publicystycznie, nazwał starsze pokolenie ludzi teatru, zwłaszcza dyrektorów szacownych scen, którzy z jego przedstawień ostentacyjnie wychodzili. Dziś wolno powiedzieć: Kłata wygrał. Po latach utyskiwania na panoszący się po scenach konserwizm zdobył prawo decydowania, dokąd wytyczyć ścieżki, bo jak chodzić po tych wydeptanych, od dawna nikt już nie wiedział. Symbolicznie mówiąc: po ścieżkach Grzegorzewskiego, niemal dla każdego młodego twórcy zbyt wymagających, i ścieżkach po Lupie, które dla epigonów reżysera „Kalkwerku” stały się w takim samym stopniu kardynalnym wy-

znacznikiem, co pułapką pustego naśladownictwa.

Teraz Kłata w już swoim krakowskim Starym może do woli zamieniać Ajschylosa na poetykę gier RPG. Tyle że pytanie, czy to wszystko mieści w środku sens, padać będzie 10 razy częściej – buntownikom zawsze w końcu odbiera się taryfę ulgową.

Decyzja, by wystawić „Do Damaszku” Augusta Strindberga, zadowoli wszystkich. Na realne otwarcie swej dyrekcji reżyser składa hołd Swinarskiemu i rozpoczyna sezon poświęcony jego legendzie. Zatem sceptycy dostaną bogaty materiał do porównań. Zwolennicy zaś nie odsuną się od swego ulubieńca, gdyż nadal trzyma ich w świecie, w którym od dojrzałego widza wymaga się mniej więcej tyle, ile od ucznia drugiej klasy liceum. Oto miły świat, teatralny przylądek, gdzie wolno wszystko.

Ale – przyznam, gryząc się w język – momentami nawet ja, raczej teatralna konserwa, dawałem się przekonać. Gdy na dużą scenę Starego na wystrzałowym rowerze wjechał ubrany w czarny garnitur Marcin Czarnik, a w głośniki uderzył mocny beat, pojąłem, że ze szwedzkiego ekspresjonisty ostate-

się strzępy. Nie o duchowość czy nawrócenie wciąż powracającego do punktu wyjścia (czyli ponownego zwątpienia) grzesznika tu chodzi. Ani o Swinarskiego czy jego jakkolwiek rozumiany testament.

Reżyser przebrał Nieznajomego za nowoczesnego artystę kabotyna i nadał mu imię Idol, bo postać proponowana przez Kłatę to żadna spełnienia ofiara (post)modernizmu, która kimś takim w oczach innych chce się stać.

surrealną formę Dorota Segda, Krzysztof Globisz, Adam Nawojczyk i Krzysztof Zarzecki).

Chyba zresztą ten wymyślony i powtarzany jak refren „performer” wyznaczył reżyserowi całościowy kontekst. Tutaj rzeczywistość multiplikuje się jeszcze chętniej niż u Strindberga, pierwsze pół godziny zapowiada dość zgrabną opowieść, jednak już za chwilę Kłata rozpętuje dźwiękowe piekło. Również w głowie Idola. Pewnie niemal połowa spektaklu

to właściwie momenty zawieszenia, gdy Czarnik z Wasilewską (aż chce się patrzeć, jak ta aktorka po raz kolejny rzuca się na rolę, nie bacząc, czy wyczuwa pod sobą grunt) toną w nakręcanych mocnymi rytmami pozach. Czasem te obrazy działają, czasem pozostawiają z niczym (przez pierwsze pół godziny Kłata w popowych kawałkach odnalazł metodę na łączenie niedających się złączyć sekwencji).

Pozornie to rozszala i dezynwoltura. W końcu reżyser opowiada o rozszczepieniu pojęć, trudno mówić o tym inaczej. Nie mam pojęcia, czy tym samym przyznaje, że stanął na rozstaju dróg. Jeśli tak, to potraktował siebie surowo. Marzenia o artystycznej nieśmiertelności Nieznajomego/Idola przekreśla Pani/Żona, w ostatniej scenie wyjmując z kontaktu wtyczkę, gdy ten na podświetlonym podwyższeniu próbuje jeszcze pompacyjnej pozy, by kupić sobie uznanie. Zresztą śmieją się z niego tysiące czaszek, z których scenograf Mirek Kaczmarek zbudował ściany okalające scenę. Cóż, żeby przejść do historii, trzeba się nieźle namęczyć, a nie tylko performować.

Ba, kto wie, może dla Kłaty takie performowanie to wolność albo i ona jest tożsama z metafizyką. Ale wygląda na to, że Kłata również wie, iż to może za mało... ■

Autor jest także redaktorem w internetowym tygodniku idei „Nowa Konfederacja” (www.nowakonfederacja.pl)

August Strindberg, „Do Damaszku”, reż. Jan Kłata
Narodowy Stary Teatr im. Heleny Modrzejewskiej (Duża Scena: DS#Helena)
premiera: 5 października 2013



Justyna Wasilewska (Żona) i Marcin Czarnik (Idol)

FOT. MAGDA HIECKEL